Nro 12.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 1 czerwca 1844. **Rok piąty.**

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 18 maja 1844.

Stroje damskie. Najnowsze rańtuchy są z krepy chińskiej w cienie haftowane; używane są także rańtuchy gazowe z białych lub czarnych korunek, z szerokiemi garnirunkami; inne są kończaste, obszywane fręzlą jedwabną.

Zjawiły się tu jedwabne chustki z rękawami, obszywane fręzlą algierską; z tyłu formują zwykły klin, z przodu spada dwie poły czworogranne; wyłóg wkoło szyi rozcięty na dwie części spuszcza się aż do dołu. Ta chustka składa się z dwoch kawałków ze szwem prostopadłym przez plecy.

Najwięcej używają sukień z stanikami sznurowanemi, zpod których wyglądają śliczne kołnierzyki; również suknie z klapami na piersiach i z małym leżącym kołnierzem; a czasem klapy zachodzą aż na spodnice.

Kolory najbardziej poszukiwane są czarny, ciemnobłękitny i zielony. Do spodnicy jedwabnej dają się staniki z białej piki, które bywają ozdobione guzikami bronzowemi albo złotemi gładkiemi.

Taniec Polka który opanował salony, zachwycił wszystkie nasze piękności i zawrócił głowy najniezmordowańszym modnisiom, wdarł się także do naszych rękodzielni i nadaje przynajmniej swe nazwisko tysiącznym, rozmaitym rzeczom. Jużeśmy zauważali materię prześliczną, świeżą i stosowną do wiosennej pory, nazwaną polka, niemniej powabną i odszczególniającą się na kapelusze a nadewszystko na najśliczniejsze kapotki. Pospieszamy także z doniesieniem, że to nowe zjawisko zajmuje miejsce między strojami pani *Cordier*, kapelusz jej roboty z gazy polka, koloru malwowego ozdobiony bukietem z drobnych, trzęsących piórek jest strojem wytwornym i powabnym.

Rycina dzisiejsza przedstawia: suknię jedwabną z podwójną spodnicą, axamitnemi wstążkami obszytą, mantylę korunkową *à la Catalani*, kapelusz gładki z piórem; druga figura, szlafroczek z mienionej materii, w przodzie otwarty, sznureczkami naszyty, stanik w fałdy z klapami, kapelusz jedwabny bufkami i piórem ubrany; trzecia figura przedstawia poloneskę z mienionej materii, angielskiemi korunkami obszytą, suknię materialną w paski z stanikiem wysokim i kapelusz batystowy w marabu ubrany.

Stroje męskie. Najulubieńsze fraki od czasu *Longchamps* są *à la française*, i zapinają się na dwie strony. Do fraków kolorowych, jakoto bronzowych, lub niebieskich dają się kruszcowe guziki wypukłe, nie zaś gładkie lub wklęsłe; kołnierze u nich są axamitne stosownego koloru. Przy frakach niema po największej części patków. Co do fraków niebieskich, jest w nich ta niedogodność, że nie łatwo dobrać do nich kamizelki i spodeń; znakomici modnisie dają to za prawidło, że kamizelka zawsze powinna być koloru jaśniejszego niż spodnie, tak np: dobrze jest do białej kamizelki mieć spodnie popielate, ale na odwrót to nieuchodzi; z drugiej znów strony biała kamizelka, takież spodnie i frak niebieski stanowi strój bogaty ale nie osobliwy.

Surduty na dwie strony zapinane, mają zwykle wielkie klapy i kołnierze szerokie axamitne lub morowe.

Spodnie szerokie ze szwem prostym są dziś najmodniejsze; można także widzieć spodnie bez strzemionczek, sięgające aż do samej ziemi; podobną robotą widzieć można spodnie u góry fałdowane.

Figura męska przedstawia: surdut o jednym rzędzie guzików i frak do spaceru z okrągłemi połami.

———

WYBÓR POLKI.

Das Edle zu erkennen ist Geheimniss.
Goethe.

Florenza la bella, Venezia la divina, Padua la dotta, Genua la ricca, Roma la superba; ma Vedi Napoli e poi muori! — Mówią Włochy i zaiste pięknym cudownym jest Neapol, wyrzekła hrabina Irena, wychylając się z pojazdu; to spojrzała na okwitość i bogactwo pól rodzajnych, to na ponętne winnice, to ku groźnemu ognistemi wybuchami Wezuwiuszowi, i znowu oparła wzrok swój na modrej przestrzeni morza. Boże! jakiżto czarodziejski jest widok! Ta zieloność świeża, to urocze zwierciadło wody, a przedewszystkiem to boskie niebo!

— Prawdziwe eldorado! odparł młodzieniec wykwintnie ubrany, zajmujący naprzeciw hrabiny miejsce w powozie, i lorynetował wznoszące się malowniczo w niewielkiej oddali powabne wyspy Capri i Ischcia.

— Dlatego też mieszkańcy tutejsi mówią: że Neapol jest cząstką krainy niebieskiej na ziemię spadłą, dodała pani Lutowska, towarzyszka podróży Ireny.

— Wszyscy się zachwycamy pięknością okolicy, czemuż pan Zygmunt zimnem tylko darzy ją spojrzeniem? zapytała Irena czwartej osoby w pojeździe będącej.

Byłto młody mężczyzna szlachetnych rysów, smętnego wejrzenia, na którego czole troska swoje piętno wyryła; czarnego koloru czamarka, mocno zużyta, i skromny słomiany kapelusz, rażącą przedstawiały sprzeczność z wyszukanem przybraniem wyżej wspomnionego młodzieńca.

— Kto posiada tę szczęśliwą pewność oglądania pokrótce znowu nieba i ziemi, wprawdzie mniej uroczych, mniej pięknych; ale milszych, ale sercu najdroższych, bo rodzimych, tego uczucia zapewne łacniej przyjmują wrażenia czarodziejskich powabów włoskich. Ale komu ta nadzieja w oddali tylko słabym, bladym, nikłym przyświeca zabłyskiem, kto za swą tęskni ojczyzną i czyje uczucia oderwalnie tylko w cudzej stronie goszczą, ten nie jest w stanie z takiem uniesieniem podziwiać piękność krajów obcych.

— O, to jest prawda! zawołała Irena z rzewnym miłych rysów wyrazem.

— Można kochać ojczyznę swoję, lecz zarazem nie być obojętnym na uroki obcych okolic i chętnie pod innem zamieszkać niebem.

— O nie, nie panie Oskarze! przerwała z lekkiem oburzeniem Irena; kto kocha ojczyznę całym żarem uczuć swoich, ten jedynie srogością losu przykuty pod obcem zostaje niebem, a dusza wolno wraz z lotną myślą przedziera przestrzeń, dzielącą wędrowca od stron rodzimych, rzuca otaczające ją czary i szuka strzechy, choćby słomianej tylko, ale tam, gdzie po raz pierwszy dzień mu zaświtał.

Zygmunt spojrzeniem podziękował Irenie za te wyrazy; Oskar umilkł widocznie zniechęcony.

Pojazd toczył się piękną ulicą Chiaja; minęli pyszne pałace, i czarowną Villareale, i milczeli, każde własnemu oddane dumaniu. Dopiero gdy konie przed pałacykiem, gdzie Irena od swego przyjazdu do Neapolu mieszkała, w zwolnionym zatrzymały się biegu, hrabia Oskar z przykrego otrząsłszy się wrażenia, na ziemię zeskoczył i Irenie rękę swą podał.

* * *

Oskar spiewał przy fortepianie jakiś urywek z Roberta Diabła. Irena z kilku osobami w salonie bawiła, a Zygmunt stanął na balkonie: piękne drzewa południowej strefy, pyszny zdobiące ogród, rozpościerały się pod stopami jego; trawne kobierce, cudne kwiaty lubą woń rozsełały; dalej widać było gładką powierzchnię morza, a w głębi czarowne Sorrentu wybrzeża. Okolica ta miała niejakie podobieństwo do lubego miejsca w którem po raz pierwszy uczuł słodki niepokój a zarazem i boleść dotkliwą.... Byłoto w czerwcu, o przedwieczornej dobie, przechadzał się wśród wonnych kwietników, po rozłożystych drzewach tysiące świegotało ptaszyn, słońce żegnając ziemię, ostatnie swoje promienie zanurzało w orzechowskiem jeziorze. Zaturkotało na dziedzińcu, pani domu, ciotka jego, powitała gości: mężczyznę średniego wieku i kobietę, anioła! — Nie tyle piękną co lubą, i miłym urokiem prawdziwej kobiecości powabną. Zygmunt zadrzał, jej łagodne zpod ciemnej rzęsy spojrzenia w jednej chwili silne w jego łonie wznieciły uczucie, pierwsze dźwięki jej mowy zaległy w głębi duszy jego, i odtąd nigdy, nigdy tej lekkiej, pełnej wdzięku postaci zprzed oczu swoich nie stracił. Tą kobietą była Irena, żona hrabiego X*. Bole srogiej walki, walki samego z sobą przepaliły serce młodzieńcze, ale nie ztłumiły w piersi wrażenia, które z dniem każdym wzrastało. Przeminęły długie chwile cierpienia, wieki udręczeń i boleści duszy.... Wtem odgłos wojenny przywołał go do nowego życia... Pełen odwagi, żądzy sławy i męstwa rzucił się Zygmunt w bój krwawy. Okryty blizny, ozdobiony chlubnym znakiem zasługi, uniósł następnie skołatane tyloliczne cierpieniami życie, niepożądane mu wcale, potym jako towarzysz podróży młodego xięcia X*, spotkał Irenę w Neapolu, Irenę, której obraz wiernie w swo-

jej przechował piersi; znalazł ją wolną! a na jej widok dawna miłość ze zwiększoną namiętnością odżyła. Była wolną! znała uczucia Zygmunta, hrabia Oskar starał się o jej rękę, za nim wszystkie przesądy światowe mówiły.... Jednakże Irena nie jest zwyczajną kobietą, ona niepowinna z Oskara wyboru uczynić: bo ona umie ocenić wewnętrzną wartość ludzi, umie rozróżnić powierzchowną pozłotę od zalet rzeczywistych.... Ależ Zygmunt!... biedny... mógłże rościć jakie nadzieje? — Wzniosła się pierś jego, przekonanie wewnętrznej wartości, szlachetnej dumy wywołało uczucie: miłość prawdziwa o wzajemność dobijać się może, miłość czysta i święta, żadnym światowym nieskażona widokiem, miłość od brzęku złota nie zawisła! — Takiem uczuciem wrzało serce Zygmunta, on w głębi duszy żywił to przekonanie, iżby potrafił uszczęśliwić Irenę.

Spiew Oskara umilkł, cicho było w około, tylko rzewna nuta barkaroli dźwięczała zdala od morza.

— Wszakżeż czaruje ten widok, skoro tak wyłącznie potrafił zająć pana Zygmunta? dumający zadrzał. Irena stała obok niego.

— Wzrok mój tylko sięgał powabne Sorrentu nadbrzeża, dusza gdzieindziej błądziła: wysnuła mi obraz Orzechowa....

Mocne wzruszenie przebiegło rysy Ireny, Zygmunt widział jej rozczulenie i na chwilę, na jednę chwilę tak mu błogo było, jakgdyby ujrzał błonia rodzinne. Irena chciała coś wyrzec, lecz w tę chwilę Oskar się ukazał.

— On mnie kocha! on mnie kocha z równie młodzieńczym zapałem jak niegdyś!... Ta wzmianka o Orzechowie! głos jego był tyle rzewnym... Ja go szacuję wysoce, lubię go jak brata.... Ale Oskar! o czemuż Oskar nie jest takim! — Wyrzekła Irena w swej duszy, gdy po rozejściu się gości, znowu w to samo powróciła miejsce. Wsparła się na krawędzi balkonu, pochylone lica łzy żalu zrosiły, wiotka jej postać pod ciężarem smutku się nagięła: w łonie niewieściem bolesna odbywała się walka. Pozorne zalety i miła powierzchowność Oskara, zajęły serce Ireny; w ułudnem urojeniu ubrała go we wszelkie przymioty, które w swym lubym widzieć pragnęła, a dzisiaj poznawszy go bliżej, ubywało mu z każdą niemal chwilą tego uroku, którym go jej niewieścia wyobraźnia otoczyła. Miłość do kraju, to święte dla Ireny uczucie, słabo tylko tlało w duszy Oskara; obcemi mu były wszelkie szlachetniejsze dążenia; w miejscu zaś tego herby i pieniądze cenił nad wszystko. Zawiedziona w pięknych snach swoich, widziała się Irena z najboleśniejszą goryczą zniewoloną odmówić szacunku swojego temu, którego ciągle jeszcze kochała. A ileż Oskar musiał tracić w porównaniu z szlachetnym i najszczytniejszych dążności Zygmuntem. O jakżeż pragnęła miłość swoję dla niegodnego tak wzniosłych uczuć ze zbolałego wykorzenić serca! a gdzie taka wola powstanie, to zaiste i o skutek nie trudno.

* * *

— Czy zastałem hrabinę w domu?

— Pani słaba... ale spytam, odrzekła pokojowa. Pani prosi, wymówiła, powracając z salonu Ireny. Wyrazy te nader mile zadźwięczały w uszach zniepokojonego Zygmunta. Zastał Irenę słabą i z zapłakanemi oczyma.

— Klaudyna umarła! zawołała z niezwykłem wzruszeniem, dzisiaj rano odebrałam tę bolesną wiadomość.

— Umarła! wyrzekł Zygmunt żalem przejęty, anioł ziemię rzucił! ziemię, na której tyle łez niedoli osuszył, gdzie każde stąpnienie strudzonej pielgrzymką nogi, samo tylko poświęcanie się bez granic znaczyło....

— Stawiają bohatyrom pomniki, uwieczniają pamięć mędrców, pyszne posągi przekazują potomności istnienie xiążąt i królów, a gdzież cnota, tak rzadka cnota ma swoje ołtarze?... W sercach małej liczby spółczesnych, ale.... Irena zasłoniła dłońmi oczy i rzewliwie płakała. Oh! ja sobie wyżebrzę jednę nitkę z jej odzienia, by ją jako świętość przechować. Pospieszę łzami boleści, wdzięczności i uwielbienia zrosić ziemię, która święte zwłoki pokryła.

Zygmunt ze zwilżoną powieką odwrócił się do okna, ta oznaka głębokiego uczucia i hołdu, oddanego rzetelnej cnocie, nie uszła baczności Ireny.

— Hrabia Oskar! oznajmił lokaj.

— Proszę.

— *Comment comtesse, vous pleurez?...*

— Klaudyna umarła.

— Co? hrabina X*?... Ej, toćżeto było do przewidzenia! zawołał, wykręcając się zręcznie na kończastym obcasie. Po coż się hrabina tem tyle zmartwiła? Byłato *sans mentir*, arcyszacowna dama, ale toćże my wszyscy umierać musimy.... *A propos!* dzisiaj jest koncert u *marchesy Dandolini*.

Ireny łzy płynąć przestały, z oburzeniem spojrzała na młodzika i do drugiego pokoju wybiegła.

— Nie wiedziałem, że hrabina Irena była w stosunkach przyjaźni z hrabiną X*, obrócił Oskar mowę swą do pani Lutowskiej.

— Jako istota umiejąca czuć i cenić niebiańskie

cnoty zmarłej, dotkliwie nad jej zgonem boleje, odrzekła Lutowska ze łzami.

Oskar przystąpił do Zygmunta, lecz widząc chmurę na czole jego i w cale niesklonnego do rozmowy, wywinął się po salonie i wyrzekł: Jeżeli panie dzisiaj życzycie sobie być na koncercie, to mnie proszę zawiadomić; machnąwszy kapeluszem wybiegł z pokoju.

* * *

Drobniuchny deszczyk, jakoby lekkiej gazy powłoką, osłonił zachwytne okolice Neapolu. Zygmunt bezmyślnie wzrok swój na wybrzeżach Sorrentu opierał, obojętny na urok ich rzadkiej piękności: dusza jego była w żałobie, uwielbiał cnoty Klaudyny i boleśnie uczuł stratę najgodniejszej kobiety. Nadto i Irena zabierała się do wyjazdu z Neapolu, a z jej odjazdem miał dla Zygmunta zniknąć ostatni połysk szczęścia, który smutne życie jego, jakoby w przelocie, rozjaśnił. Przypuszczać należało że jej już więcej nigdy nie zobaczy!

— Czyliż i teraz, wśród mglistej osłonki, przypomina panu ta strona położenie miłego Orzechowa?

Zygmunt zadrżał, to wspomnienie przez Irenę, i właśnie w obecnej chwili wywołane, wzruszyło całe jego jestestwo.

— Pani wyjedziesz... odrzekł przytłumionym głosem... zniknie urok tego tutaj miejsca, a pamięć Orzechowa smętniejsze, boleśniejsze tylko pozostawi uczucia w sercu mojem.

— Zanim wyjadę, mówiła nieco drżącym głosem Irena, obracając w drobnych palcach złożony papier; zanim wyjadę, powtórzyła, i nagły rumieniec oblał miłe rysy, list ten prześlę Oskarowi. I oddała go w ręce Zygmunta. Z mocno bijącem sercem odebrał pismo, rozwinął i przeczytał: »Niemylne przekonanie, iżbyśmy się nie potrafili wzajemnie uszczęśliwić, zniewala mię do tej niczem niecofnionej, stanowczej prośby: ażebyś pan dalszych zabiegów o rękę moję, na zawsze zaniechać raczył.« *Irena.*

Zygmunt dwa razy odczytał te wyrazy, drżał, bladł, to znowu rumienił się, potym, nie mogąc dłużej przytłumić uczucia, które wrzało w sercu i duszy jego, coś wyrzekł... Irena słów kilka odpowiedziała. Zygmunt mówił z zapałem, Irena ze łzą w oku, z uśmiechem na ustach... Lecz co mówili? niewiem, bo oni sami tego powtórzyć nie umieli.

W parę miesięcy poźniej, xiądz, współrodak, złączył ich ręce w kościele ś. Piotra w Rzymie.

Paulina z L Wilkońska.*

Dumka.

Przyszły męskie lata moje,
Czegoż więcej się spodziewać?
Już ja nie ten, już się boję
I podumać i zapiewać!

Żebyż jeszcze choć dzień jeden
Dawnych uczuć i swobody,
By zamarzyć tych nieb siedem
Com tak słodko marzył młody.

O kochance i o sławie!
A kochanka czarnooka,
Nie kobieta, anioł prawie;
Sława gromka i szeroka.

Choć nie orłem, nie sokołem,
To skowronkiem zawsze byłem,
Ponad rolą, ponad siołem
Wszystką wiosnę przedzwoniłem.

Luba w siole, ku przezroczy,
To ku ziemi zwykł lot nosić,
Po jej uśmiech, po jej oczy,
By nad ziemią je ogłosić.

Wciąż ku niebu, wciąż do góry
Ponad łąki, ponad niwy,
Wciąż od ziemi, gdzieś pod chmury,
Przebujałem tak szczęśliwy.

Dziś inaczej! zmokły skrzydła
I nie służą więcej siły;
Chwilo sromna i obrzydła
Gdziem do ziemskiej przylepł bryły.

Dziś choć chciałbym w serce pukać,
Lub przyjaźni piosnkę dzwonić;
Ni mnie słowa się doszukać,
Ani myśli mi dogonić.

Zejdzie starość drżąca, siwa,
Dziś czas starań i rachuby,
Przeszła młodość czuła, żywa,
I nie wróci ten wiek próby;

Gdzie jak zwalczysz niepokoje,
Jako przetrwasz młode burze,
Takie dalsze życie twoje,
Taką przyszłość tobie wróżę.

Celestyn W.*

PRZESĄDY.

powieść

ADAMA KŁOBUKOWSKIEGO.

Dokończenie.

Ojciec Karola, z ubożuchnego, łaską wspaniałomyślnego dobroczyńcy do szkół posyłanego chłopczyka, wyrósł pilnością, oszczędnością, korzystaniem z szczęśliwych trafów, na właściciela milionowych włości. Walczył z tysiącem przeszkód, łamał się z olbrzymią siłą przesądów, zanim wielki świat stolicy uznał go godnym należenia do koterii. Nieszczędził poświęcenia i kosztów aby przewyższając blaskiem wystawności najznakomitszych, stanąć z nimi na równi znaczeniem. Dopiął nareszcie swych celów, o ile majątek do ich dopięcia dopomódz może, ale ta krew nieszczęśliwa, której wartość równo z winem dawnością

wzrasta, stała zawsze w chwilach błogich marzenia panu Z* kością w gardle i byłby ustąpił połowę majątku, gdyby się znalazł jaki sławny lekarz, któryby potrafił przetoczyć do jego żył starożytną krew niejednego dawnych rodzin zubożałego potomka. Ale ,ponieważ tej sztuki świat dzisiejszy jeszcze nie odkrył a nawet coraz mniej widzi potrzeby jej odkrycia, trzeba było pomyśleć o naturalniejszych sposobach uświetnienia swojego rodu. W Karolu gromadziły się wszystkie promienie nadziei, próżnością przesiąkłych rodziców. Mitra w połowie herbowej tarczy, stanowiła szczyt życzeń ich pychą nadpsutego serca. Zdawało im się że stanięcie na wyższych szczeblach towarzyskiego stanowiska jest bezwarunkowem odziedziczeniem szczęścia, a wskazanie drogi do niego, chociażby przemocą nawet, ukochanemu jedynakowi obowiązkiem rodzicielskiej czułości. Ale czas oznajmionego przyjazdu Karola nadszedł nareszcie, kilka dni już odtąd upłynęło, a jego jeszcze niewidać, ani nawet listy nieusprawiedliwiają tego spoźnienia. Tęsknota ogarnęła rodziców i domowych, których przywiązanie dobry Karol umiał sobie zjednać przed swoim wyjazdem z kraju.

O kilka mil od stolicy w pięknym murowanym dworze mieszkała podeszła wdowa, dziedziczka włości, której mieszkańcami zarządzała od lat kilkudziesiąt z całą łagodnością chrześciańskiej duszy. W młodym wieku straciwszy męża, długo żyła samotnie, i lubo cichemi cnotami umiała nadać powab swemu odosobnieniu, z przykrością jednak stan jej wdowi i bezdzietny dawał jej uczuwać brak tej pieczołowitej wdzięczności, która tyle wynagradza wychowaniu dzieci poświęcane starania. Dowiedziawszy się o biednej sierocie, którą w kolebce odumarli rodzice, wzięła ją do swego domu; wychowywała ją z całą czułością najlepszej matki; poźniej otoczyła nauczycielami, i dzisiaj ma z niej wdzięczną wyręczycielkę w zatrudnieniach domowych, i przyjemną towarzyszkę w wiejskiej samotności. Piękna szesnastoletnia Wanda niewinna jak kwiat lilii, nieznająca innego świata nad dom swojej dobrodziki, niesięgnęła jeszcze nigdy żądzą poza ten zakres cichego swego szczęścia, dla tego też nic dotąd niezatruło dziecinnej jej swobody. Właśnie cotylko po wyjeździe swej dobrej opiekunki w sąsiedztwo, usiadła z robotą w ręku przy oknie, kiedy nagle rozległ się w dziedzińcu odgłos pocztarskiej trąbki, i młody mężczyzna wyskoczył przed gankiem z obładowanego parokonnego kocza. Wanda nieprzyzwyczajona do tego rodzaju odwidzin, chciała się schronić do przyległego pokoju, lecz nim walkę namysłu rozstrzygła, wbiegł do salonu przybyły podróżny. Pomieszaniem jak Niobe nieruchoma, opuściła alabastrowej białości rękę, z której przed chwilą szybkością okamgnienia migająca igła, na posadzkę upadła, a bursztynowy promień słońca prześliznął po kruczym warkoczu pochylonej jej głowy, jak nocne światło xiężyca po wierzchu głębi jeziora. I nie wprzód podniosła duże jak węgle czarne źrenice, aż gość zatrzymawszy się tuż przed nią zapytał: Czy zastałem ciotkę moją w domu?...

— Pani przed półgodziną wyjechała odwidzić słabą sąsiadkę.

— Ubolewam, rzekł młody mężczyzna, że nie będę mógł po długiem niewidzeniu powitać ją pierwszą z moich krewnych, chciej przeto piekna panienko powiedzieć jej, że Karol powracając z dalekich podróży był tu dzisiaj ucałować jej nogi.

— Przebacz pan że się podjąć nie mogę polecenia, któreby dla mej opiekunki było powodem żalu, a dla mnie nagany że nieumiałam być gościnną dla jej kuzyna. Używam przeto władzy gospodyni i...

— Dosyć mi na tem, odrzekł żywo Karol, aby nieopuszczać miejsca do którego jakiś urok mnie przykuł; i dał rozkaz służącemu, aby poznosił walizy, gdyż tu parę dni zabawić myśli. Wróciwszy usiadł naprzeciw Wandy, oczy ich często spotykały się po znajomemu, a obopólna sympatia szczególnem przypomnieniem jakiegoś dawniejszego, może w snach ideału marzonego poznania, jednocześnie prawie natchnęła ich duszę. Taki jest zwykle zawiązek uczuć, które z iskierki siłą wulkanu olbrzymieją w burzę piorunów, albo w pogodę skwarnego słońca. Ale ktoż z porannej zorzy przepowie przyszłość południa? Zaledwo upłynęła godzina od chwili przyjazdu Karola, a już jego z Wandą rozmowa pozbywszy się zimnych wymuszenia kształtów, owiana błogim oddechem zaufania potoczyła się po błoniu domowego życia, zdawało się jakżeby zdawna razem wychowani, cofali się wspomnieniem w chwilę wspólnych stosunków: też same osoby były im znajome, z tego samego stanowiska zapatrywali się na przedmioty, ważne dla obojga, bo rodzinne, codzienne i niktby z ich wyrazów nie odgadł że kolebka ich wychowania była rozdzielona półświatem, że jego dziecinne serce karmiono dumą; podczas kiedy Wandę do podległości nakłaniano, że on pomexem paryskiej etykiety szlufował swoje obyczaje, kiedy młoda, anielska dziewica, kształcona na łonie przyrody wiernym jej była obrazem. Karol pierwszy raz od czasu odwidzenia panny Lenormand, zapomniał o srogiej przepowiedni, pierwszy raz myślą swobodną kwieciste ujrzał nadziei obszary. Życie

straciło dla niego cierpkość pełnego zgrozy jutra, z przyjemnością patrząc na lubą dziewicę, łączył z jej przyszłością szczęśliwą dla siebie wróżbę. Wtem zaturkotał w podwórcu, krakowską czwórką ciągniony koczyk, i pełen swobody pospieszył Karol naprzeciw przybywającej pani domu. Niepoznała go, tyle tajemna troska, zwarzyła kwiat jego wiosny, ale kiedy wymienił swoje imię, z macierzyńskim zapałem przycisnęła go do łona i obsypywała pieszczotami. Moje drogie dziecię! ciebieżto widzę, zawołała z rozczuleniem, ale jakżeś mi ty zmizerniał i wybladł Karolciu! niech się te wasze podróże nieświęcą; ty!... niegdyś rumiany i pełny? Ale ja cię od siebie niewypuszczę, póki cię znów nie wykarmię na takiego jakim byłeś. Niech twoja matka niewidzi w twoich licach zarzutu naprzeciw uporowi wysyłania cię na tak długo za świat, przeciw czemu tyle powstawałam. O, niepuszczę cię teraz, niech się tam wymartwią rodzice. Tylko im damy wiadomość że jesteś już u mnie, ale niech sobie poczekają, nim do nich powrócisz!...

Karolowi brzmiały te słowa wdziękiem niebiańskiej melodii; chociaż przywiązany do rodziców, wzdrygał się jednak przed myślą rozstania się z Wandą. Proszony od ciotki, aby dom jej uważał za własny, nieraz znalazł sposobność zostania samnasam z aniołem swego serca. On jeszcze nie wyznał Wandzie swych uczuć i ona się strzegła dać mu poznać ile mu jest przychylną, ale każde z nich byłoby za miłość wzajemną przysięgło. Bo trudno jedna utaić niedoświadczonej młodości tych wrażeń, jakie się w głębi serca cieniują; jeden rzut źrenicy, jednak łza zle utłumiona zdradzi całą tajemnicę jasnowidzącemu kochającego oku. Karol nie mógł być w błędzie o stanie serca ubóstwianej Wandy, bo kiedy jej opowiadał sceny swego paryskiego życia, i wspomniał o smutnej swojej przepowiedni, łzy gradem posypały się z jej oczu, zakryła twarz rękami i uciekła. Szczęśliwy kochanek błogosławił całe swoje przeszłe cierpienie, błogosławił straszną wróżkę, wszystkie przecierpiane męki zdawały mu się zbyt małym okupem za teraźniejsze morze szczęścia! Ale czas jego pobytu w tem błogiem zaciszu błyskawicą przelatywał, listy od rodziców coraz więcej nagliły, pełne były nawet wyrzutów wymierzonych przeciw obojętności Karola, zwlekającego bez powodu chwilę powitania tych, którzy mu dali życie. I ciotka lubo nieprzewidująca w grzecznościach Karola dla Wandy nic prócz winnej dla swej płci uprzejmości, nie zmuszała już lubego siostrzeńca do dłuższego u siebie zabawiania, bo jej żal było jego matki, której przywiązanie, całe swoje w ukochanym jedynaku pokładając szczęście, niemogłoby dłużej bezkarnie dla zdrowia znosić niepokojącej oczekiwania troski.

Przybył nareszcie Karol do domu rodziców, którzy ujrzawszy go zapomnieli całej urazy za zwlekanie chwili, tyle dla nich pożądanej. Troskliwość ich długo nie dała spoczynku jego pamięci, musiał bowiem zdawać liczbę z każdego niemal dnia od czasu wyjazdu z domu, a każda drobnostka była dla nich zajmującą. Szczegóły jakie widział, znajomości jakie pozawierał w ich oczach podnosiły zaszczyty domu, a zadowolony ojciec, rozpływając się z roskoszy że syn jego żył w stosunkach z zagranicznymi xiążęty, i miał nawet jako wychowaniem i majątkiem dystyngowany młodzieniec przystęp do uczt dworskich, dla dokładnego poparcia swojej prawdomowności, nosił z sobą karty wizytowe i zapraszające z sutemi herbami i świetnymi nazwiskami i pokazywał je każdemu, ktokolwiek miał chęć słuchania szerokich pochwał prowadzenia się jego, wielkich nadziei, jedynaka. Ale Karol lubo dla każdego uprzedzający, znalazł wielu zawistnych, którzy mu niemogli przebaczyć, że się kształcił za granicą i w każdem jego ruszeniu, słowie upatrywali jakiś odcień przysady. Opinia ta obiegła i pomiędzy płcią piękną, ale to pochodziło ztąd, że pomiędzy gronem młodych panien żadnej nie odszczególniał, a każda sądziła mieć do pierwszeństwa prawo. Niemniej jednak wymyślano coraz nowe zabawy, i dom rodziców Karola stał się zbiorem najświetniejszego w stolicy towarzystwa. Karnawał wszystkich owionął niezwykłym szałem rzucenia się w wir salonowego zapaśnictwa, a wszędzie Paryżanin, chociaż często stawał się celem obmowy, był obsypywany grzecznościami, ale on na wszystko był obojętny, bo dusza jego zpośród świetnych przepychem stołecznych salonów, ubiegała w wiejskie zacisze, do tej która pierwsza zrozumiała go na świecie. Karol uważał węzły które go łączyły z Wandą za nierozłączone, ale byłby uczuć swoich niewyjawiał może długo jeszcze przed światem, gdyby nie następująca okoliczność. Właśnie zaledwo nazajutrz po balu u wojewodziny, Karol kończył toaletę, kiedy mu dano znać że matka prosi go do siebie. Serce zaczęło bić biednemu młodzieńcowi, przeczuwał bowiem, że to niezwykłe wezwanie jakąś mu troskę przyniesie. Zastał matkę siedzącą w dużem poręczowem krześle, jakaś niespokojność malowała się na jej twarzy. Słuchaj Karolu! odezwała się, czas już ażebyśmy pomówili z sobą otwarcie: młody jesteś, ale właśnie twój wiek najstosowniejszy do zrobienia kariery. Szczęście, wierz mi, raz tylko nam się uśmiecha, kto na ten uśmiech nie zważa, już go drugi raz nie dojrzy.

Co myślisz mój synu! gdyby ci xiężniczka Otilia oddała swą rękę?

— To być nie może matko! odrzekł nagle Karol, którego twarz szkarłatem zabiegła.

— A gdyby naprzykład być mogło?... to połączenie stawiłoby cię na równi z pierwszemi rodzinami kraju.

— Przesądy! — Matko!... ja nie pragnę zaszczytów... i nie chcę łamać wiary raz poprzysiężonej....

— Jakto? miałżebyś... boże! i ktož jest tą wybraną?...

— Wanda, wychowanica mojej ciotki.

I nagle pani Z* osunęła się na krzesło, kilka chwil zdała się być bezwładną, bezprzytomną, nareszcie otworzyła oczy i zawołała: wyrodny! — Karol ukląkł przy jej nogach; całował jej kolana, i nie chciał już w tej chwili więcej wspominać o swoim zamiarze, ale ona sama zaczęła.

— Chceszże nam tą hańbą, życia ukrócić? cożby na to twój ojciec powiedział, że się z nieszlachcianką żenisz?

— Ale droga matko! wszak i mój ojciec nie był szlachcicem, i jego młodość zbiegła w upokorzeniach, i dzisiaj ta jego wielkość jest nieraz gorzką potrawą, ci co z nim żyją, szacują jego miliony a jego nieraz może mierzą okiem pogardy; a zresztą Wanda....

— Precz, precz mi z tem nienawistnem imieniem. Ja pragnęłam szczęścia dla ciebie.... a ty!...

— Maž szczęście być w urojeniu? i owszem czem kto mierniejsze w towarzystwie zajmuje miejsce, tem życie jego spokojniej płynąć može. Wysokie rangi, są jak góry zbyt wielkie, a zieloność je nie ubarwia, a piorun często w nie bije. — Pozwól, pozwól droga matko!

— O nie Karolu! nigdy, nigdy — pierwej mnie ujrzysz na marach...

Karol powstał zasłonił ręką łzy wytryskujące z oczu i wyszedł. Kiedy dano do obiadu i jego napróżno oczekiwano, powiedział służący, państwu Z* že sobie kazał pan Karol konia okulbaczyć i sam, nie powiedziawszy gdzie, pojechał. Rodzice byli niespokojni tem bardziej že na noc nie powrócił, i drugi dzień cały bez wiadomości upłynął, aż dopiero trzeciego dnia posłaniec konny przywiozł listy od ciotki Karola, a opiekunki Wandy, že przybywszy do niej na wieś, mocno zasłabł. — Państwo Z* gnani trwogą o zdrowie ukochanego syna, pędzili w towarzystwie kilku najsławniejszych w stolicy lekarzy, rozstawionemi końmi do wskazanego miejsca, ale pomimo całego pospiechu niebezpieczeństwo wyprzedziło najstaranniejszą pomoc. — Straszna była scena dla serca nieszczęśliwych rodziców, Karol niepoznał ich już, oczy w słup zawróciwszy, wyjąkiwał pojedyncze wyrazy: Wando! przesądy! Lenormand!...

Trzeciego dnia żałobna karawana zdążała bitym gościńcem do stolicy, tysiące świec i pochodui błyszczało łuną na pochmurnem niegie, i młoda dziewica zanosząca się od łkania szła obok ubranych w żałobę rodziców, w których spomnieniu, krwawym harakterem wyryły się ostatnie słowa Karola. —

O lornetkach dyssertacya.

Lornetki są szkła płaskie, przezroczyste, niekolorowane, w oprawie osadzone, trzymane przed oczyma i kierowane na przedmioty zewnętrzne aby je widzieć lub nie widzieć, jak się komu podoba. Są p o j e d y n c z e o jednem szkle, i p o d w ó j n e a więc o dwóch szkłach. Są p r o s t e i z ł o ž o n e to jest o kilku w jednej osadzie szkłach. Oprawa bywa rozmaita, najczęściej kosztowniejsza od samych szkieł, z różnego kształtu: już okrągowa jak w okularach, już koniczna walcowata. Najpospoliciej lornetka zawiesza się na szyi, aby w każdym razie mogła być użytą, czy potrzeba czy niepotrzeba.

Napisawszy tyle, nasunęło mi się pytanie, czy lornetki mogą służyć za przedmiot do dyssertacyi? odpowiedź bez wahania nastąpiła, iž stanowią przedmiot godny i bardzo godny traktatu obszernego. A dla czego? bo przerzuwając katalogi bibliograficzne znajdujemy nie tylko dyssertacye ale wolumina i foliały o przedmiotach bardziej błahych. Niech Eichwald i Cuvier powiedzą, ile napisano o mólach, pchłach, komarach itp; a Rayer, Vitaine, i inni dermatologowie czy szczupłe dzieła wydali o pryszczkach i plamkach co się na ciele ludzkiem wylęgają. Ciž przynajmniej pisali o rzeczach pod zmysły podpadających; lecz mamy xięgi o tem czego i stu oczyma patrząc nie dojrzysz. Powiadają že był kiedyś w Niemczech bardzo rozumny filozof, co tak rozumnie pisał, iž go często zrorumieć nie mogą najrozumniejsi, sami nawet Niemcy. Słyszałem także že podobno we Francii jakiś hermafrodyt, pani czy pan G e o r g e s S a n d, bardzo wiele wydał Wolmininów a w tych rozbiera, rozdziela, słowem anatomizuje uczucia (*les sentimens*) serca ludzkiego, i to prawie zawsze dotkniętego jakąś chorobą, a najczęściej podobno spazmem. A mnie się zdaje že uczucia serca, mianowicie chorującego; ani go tem, ani szkłem wspartem okiem onych nieujrzysz, ani milimetrem nie zmierzysz, ani co najważniejsza rozumem nieogarniesz. — Na po-

twierdzenie proszę zapytać tych co cię kiedykolwiek kochali. Tylko czym się czasem nie omylił; wszak o dymie, parze, i innych waporach, które przecież nie są niczem, fizycy i chemicy dużo pisali i piszą, a uczucia te serca są właśnie dymem, waporami, co głowie zawrót, piersiom duszność, a sercu szamotanie sprawiwszy, wynoszą się gdzieś za dziesiąte góry; a tam i ze świecą ich nie znajdziesz. Lornetki zaś, co i na nie i przeznie patrzyć można, co są na usługach najważniejszego zmysłu ludzkiego, mająż być nie warte, aby o nich pisać; a więc pisać. Tu nowa bieda jak pisać, kiedy to przedmiot obszerny tak, iż i zdolności i ochoty braknie biorąc się do niego. Nim się jednak znajdzie jaki sławny optyk, co rzecz tę w zupełnem wystawi świetle, my wyłuszczymy tyle ile podołamy.

Wiadomo już z definicii, że lornetki są szkła, ależ podobnych szkieł jest więcej, mających różne nazwiska: np: konserwy, okulary, perspektywy, lunety, teleskopy, mikroskopy. Wszystkie one wspierają niedołężny wzrok ludzki. Konserwy bronią go od szkodliwych wpływów zewnętrznych, okulary zaradzają jego wadom. Perspektywy, lunety, teleskopy, zbliżają mu oddalone, a mikroskopy pozwalają mu widzieć niedojrzane gołem okiem przedmioty lub ich własności. Jakiż więc obowiązek lornetek, kiedy wymienione dopiero szkła, zdają się wszelkie oczowe usuwać niedogodności? Mnie się zdaje że ony jak potrzeba każe, wszystkich tych szkieł miejsce zastępują, czyli odegrywają rolę swych towarzyszów. Albowiem koniecznością tylko zmuszeni, używają szkieł tamtych, konserwów aby skłonny ku cierpieniom wzrok od choroby uchrónić okularów używa Myop (krótkowiedz) albo Presbyop (z osłabionym wzrokiem) perspektywy i lunety używa kto potrzebuje oddalone widzieć przedmioty, np. jenerał, marynarz; astronom nie może się obejść bez teleskopu, a badacz natury słusznie i kroku bez mikroskopu nie stąpi.

Lornetki zaś i młody i stary, płeć piękna i niepiękna, ze zdrowym i słabym wzrokiem z ładnemi i nieładnemi oczyma używa, i patrzy na bliskie i oddalone na wielkie i drobne przedmioty, w dół i w górę, czyli na ziemię i gwiazdy. — Lornetki też nieustępują i wtem swym towarzyszom że równie używają się we dnie i w nocy, w domu i za domem, zimą i latem; że równie służą czasem do obserwowania przedmiotów zewnętrznych, że równie mogą się stłuc i stać się nieprzydatnemi. Gdy więc tyle są podobne do pozostałych wzrokopomocników, czyż się już niczem od nich nie różnią? Przepraszam, bardzo się różnią, i to nie pod jednym względem i tak:

Najprzód: Lornetki nie tylko używa się do spostrzegania kogo lub czego ale też i do tego aby ją spostrzeżono i jej posiadacza. Każdy albowiem może zauważać, iż na osobę co lornetkę przed oczyma swemi umieści, wiele oczu zaraz się zwraca; a te oczy ujrzą nietylko lornetkę, ale i rączkę, i szyję, i kibić itd. itd.; wreszcie samą a całą osobę; wiele spojrzeń na nią się skieruje, a między niemi często jedno najpożądańsze.

Powtóre: Że wartość lornetek nie tak jak tamtych szkieł od dobroci samego szkła, ale od oprawy i od effektu sprawionego najczęściej zależy.

Potrzecie: Że przez tamte szkła patrzymy zawsze aby widzieć, przez lornetkę zaś często się nie patrzy, a tylko trzyma sie ją przed oczyma.

Poczwarte: Że tamte szkła używają się jedynie dla potrzeby oczu, lornetka zaś często dla innych potrzeb, a najczęściej bez żadnej potrzeby.

Nakoniec: Lornetki znakomiszą posiadają wyższość od swych braci i siostr, iż stanowią niezbędny sprzęt toaletý u osób dobrego tonu, tak jak niezbędne im są inne niewypowiedzianie ważne przymioty: modne wystąpienie, parlowanie francuzkie, umiejętność konwersacii salonowej.

Na tém kończę dyssertacyę o tym ważnym przedmiocie. Lecz może się kto odważy krzyknąć: niepozwalam iżby tę lichą ramotę, dyssertacyi poważnym tytułem obdarżyć. Ja mu odpowiadam: że jeśli pan Bejła wydaniem Mieszanin czyli inaczej mówiąc Mixtury prawdziwej mixtury z senesu i jalapy, mógł otrzymać patent na głębokiego filozofa, że jeśli pan Tarsza w korespondencii literackiej jedynym światłym i bezstronnym recenzentem kazał zwać siebie; to dla czegoż i to pisanie nie może się pochełpić iż jest dyssertacyą.

Pisano w Krzemieńcu w Wrześniu 1843 r.

Alex Kozier....

Z następnym numerem kończy się prenumerata dziennika pierwszego półroku, uwiadamia się szanownych prenumerantów, życzących go trzymać i nadal, o wszesne zamówienie w redakcii lub w urzędach pocztowych.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.